

HARCERZ

TYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ.

ok III.

1 Lipiec 1919 r.

Nr. 25-28.

Cena 3 marki.

*Temu tylko pług a socha
Kto tę czarną ziemię kocha
Kto ten zagon zna do głębi*

*Kogo rosa ta nie ziębi
Kto rodzinnych swoich pól
Zna tęsknotę, łzy i ból.*

Marja Konopnicka.

ZJAZD INSTRUKTORÓW HARCERSKICH b. Kongresówki.



W czasie Zielonych Świątek odbył się w Warszawie Zjazd, w którym wzięło udział przeszło 100 osób z pośród pracowników harcerskich. Zdjęcie przedstawia grupę na tle murów ogrodu kościoła pp. Wizytek. (Pierwszy rząd zastęp służbowy 25 Warsz. Dr. Har. im. Żółkiewskiego).



archiwum

PRZED ROZSTANIEM SIĘ.

Jakkolwiek ze strony formalnej czerwiec zamyka pierwsze półrocze i numer obecny należy już do półrocza drugiego, to jednak w rzeczywistości w tym numerze mówimy sobie wzajemnie „Czuwaj” i rozchodzimy się na krótki czas żniw harcerskich, aby zobaczyć się na jesieni z bogactwami plonem letnich trudów, doświadczeniem prac i myśli zdrowych, nowym dzielnym zapałem do dalszej pracy.

Wakacje harcerskie! To druga połowa naszej pracy, choć niewspółmierna co do czasu, ale napewno nie mniejsza od tej części pracy jaką wykonywujemy w zimie w mieście. Lato to dla nas podwójny pożytek. Z jednej strony każdy z nas sam dla siebie zyskuje wiele czasu dla przemyślenia doświadczeń ubiegłego roku, do opracowania, lub narzucenia pomysłów i projektów na przyszłość, do wykonania zamiarów i marzeń na czas wakacji. Zarazem tu dopiero harcerstwo osobiste każdego staje na zdrowym podłożu, dociera do swego pierwowzoru, do życia wśród przyrody, wśród pomagania jej życiu, wśród walki z żywiołem, wśród fizycznej pracy. Tu się okazuje kto jest harcerzem, kto nim być może, a kto tylko chce i marzy o tem napróżno niedocierając myślą i czuciem do najgłębszych prawdziwych, czystych źródeł harcerskiego bytu i ducha.

A drugi nasz pożytek to szerzenie myśli harcerskiej—niesienie jej w lud. Mało robimy na tym polu, ale robiliśmy i robić będziemy. Wszędzie gdzie zjawiały się mundury harcerskie, harcerskie piosenki, „śmiej i manierek brzęk na biwaku”—tam wnosiliśmy młody ruch życia, i obywatelskiej służby. Szliśmy jako pionierzy myśli o Ojczyźnie, o ofiarnej dlań służbie, świadczyliśmy, że w tem szczęście prawdziwe znajdziemy, że „wszystko co nasze Ojczyźnie oddamy”.

Może nie każdy tak nas odrazu zrozumiał, ale każdy kto z harcerzami prawdziwymi obcował, widział, że tę pogodę naszą, tę młodą radość silniejszą od trosk i trudów zawdzięczamy naszej służbie, naszej idei. Gdy był w nas duch harcerski, było w nas coś co zniewalało widzących nas do życzliwości, do wiary w nasze dą-

żenia i cele, do uznania dla wszystkiego co dobre, szlachetne i dzielne. W obecności harcerzy nikt nie chciał okazać się małoobywatelskim, samolubnym, obojętnym i zacofanym. Każdy podejmował i popierał dobry przykład, dobrą myśl i dobry uczynek harcerzy.

Tak przyjmowała nas świadoma część społeczeństwa. Masy najszersze nieskore wnikać tak głęboko i iść za nami tak daleko wyzbywały się jednak przez poznanie nas nieufności dzielących wewnątrz nasz naród, uczyły się cenić oświatę i ideały szersze od znanych dotąd w kole młodzieży wiejskiej.

Nie możemy więc powiedzieć żeśmy dotąd nic na wsi nie zrobili. Zrobiliśmy niewiele, ale zrobiliśmy już początek. Od nas zależy abyśmy zrobili więcej. W każdym razie nie zapominajmy o tem, że harcerz na wsi powinien być jednostką organizującą, czynną i twórczą.

Harcerze! wzięcie węzły harcerskie na wsi i gdziekolwiek jesteście; w obozach wzięcie się ze światem, z życiem, ze wszystkim — bo od każdego i od wszystkiego przybywa na sile gromadzie naszej idącej naprzód.

Czuwajcie! Z tą myślą rozejdziemy się za chwilę. Rzućmy jeszcze okiem za siebie. Wspomnijmy niedawne jeszcze czasy kiedy harcerstwo przeżywało najcięższy moment „kompletnego wyjałowienia się” harcerstwa, „obniżenia lotu” i t. d. Czyż tak nie było. Było niestety! Dlaczego?—czy zbrakło nam pracy, zbrakło myśli twórczych, zadań doniosłych? Nie! — zbrakło nam umiłowania naszej służby, przekonania, że harcerstwo to obowiązek święty i twardy, sam przez się wart oddania się mu z całym sercem i z całym poważaniem. Zbrakło nam ludzi wierzących w harcerstwo i miłujących je; w gorączce wojennych prądów politycznych zgubiliśmy świadomość dróg własnych harcerstwa, poszliśmy za tymi, którzy najwięcej nam obiecywali, ale dziś jeden po drugim harcerstwo opuścili.

Kto dziś powiedzieć może co było słusznym, a co nie, więc choć harcerstwo znalazło się w stanie upadku sił to może jednak nie było innej drogi. Zanim przyszłość odpowie nam na to, cieszymy się, że ten okres próby skończył się zwycięsko. Harcerstwo pójdzie naprzód,

uwierzy w swą moc i zolbrzymieje pod przewodem własnej idei.

W tym celu krzepiliśmy sobie nawzajem ducha w najtrudniejsze chwile, cieszyliśmy się z każdego ożywienia tętna harcerskiego życia, z każdego kroku naprzód, z każdej myśli wypowiedzianej z harcerską wiarą. Dziś na pewniejszej drodze możemy pomyśleć spokojniej o niejednym i spostrzec, że w tej pracy przeżyliśmy ze sobą szmat życia razem, powiązaliśmy się ze sobą.

Za kilka tygodni zejdziemy się znów do zwykłej pracy jak przyjaciele.

Czuwaj!

Alojzy Pawełek.

22—VI—1919.

□□□□□□□□

Praca nad stworzeniem drużyny harcerskiej na wsi.

Chcąc powołać do życia drużynę na wsi, drużynę któraby mogła stać się tą częścią w pracy nad budową państwa i której druhowie staną się naprawdę obywatelami kraju, należy do pracy zabrać się z energią, z niezłomnym zapałem i wytrwałością.

Praca na wsi — to praca uciążliwa, wymagająca całego szeregu drobnych poświęceń.

Inaczej rzecz się ma z pracą w mieście, a inaczej na wsi. Należy zważyć, że w mieście młodzież jest jako tako zorganizowana i współżyta np. przez szkołę, lub inne instytucje; na wsi tego zorganizowania i współżycia się ze sobą jest brak. Dalej inny materiał w ludziach spotykamy w mieście, inny na wsi. Chłopcy na wsi przedstawiają na pierwszy rzut oka, jakoby jakieś ośrodowiska anarchistów, w porównaniu z wychowaną młodzieżą miast, a jedyną organizacją przekształcającą ich, może być harcerstwo.

Nielada trudność sprawiają najpierwsze kroki, warunki i okoliczności na wsi. Naprzykład: Przyjeżdża młody harcerz pełen zapałów na wieś podczas wakacji, pragnie bardzo wiele dla harcerstwa zrobić, chce nawet odrazu założyć drużynę; niestety, chłopcy są przykuci do pracy w polu, jak pasienie bydła lub pomoc przy żniwie i t. d.

Lato przeszło nad niczem.

Zima nastaje, chłopcy na wsi mają więcej czasu, a może i trochę za dużo. Ale, co? Ten

kto chciał prowadzić pracę, musi żegnać wioskę. Ale druhu! harcerzu Wolnej Polski! te trudności to tylko podnieta do zawziętej pracy. Trochę cierpliwości i wytrwania a przeszkody pierzchną i wynikiem twych mozołów będzie drużyna z chłopcami miłującymi wspólną sprawę i umiającymi jej służyć odpowiednio. Zbudujesz drużynę, której nie zaćmią żadne inne miejskie drużyny. Prace zacząć należy od samego siebie jako kierownika pracy, bowiem jaki pan taki kram.

Następnie należy wybrać we wsi kilku chłopców 2-ch, 3-ch, lub 4-ch, stosownie do tego ile zastępów może być w danej wiosce, w każdym bądź razie nie więcej jak 4. Nie na ilości harcerstwo polega, lecz na jakości.

Jeżeli na wsi utworzy się więcej niż 4 zastępy, praca w tej drużynie dojdzie bardzo prędko do szczytu swego rozwoju liczebnego, ale nie moralnego. Co więcej, jak prędko dojdzie do swego szczytu, tym pręcej stoczy się ona ku przepaści, z której wydzignąć się jej będzie trudno, o ile wogóle się kiedyś podźwignie. Praca taka zostawia złe pojęcie o harcerstwie, a co najgorzej upadające drużyny ujemnie wpływają na rozwój pracy w innych, odbierając w ten sposób chęć do dalszej pracy.

Mogą być drużyny na całą jakąś okolicę wiosek jedna, — ta mieć może więcej zastępów.

Wybrani chłopcy powinni być w wieku 15 lub 16 lat, tak aby czasami nie byli o wiele młodszy od chłopców, którzy mają tworzyć zastęp.

Wybrańcy powinni być chłopcami najsolidniejszymi, najuczciwszymi, energicznymi i wogóle cieszącymi się sympatją wśród innych chłopców danej wioski.

Tych ćwiczyć należy we wszystkich kierunkach cnoty i techniki.

Wyrobić trzeba w nich poczucie obowiązkowości, posłuszeństwa, wyrugować samolubstwo, słowem niech ta czwórka, czy trójka, stanowi małe ognisko ludzi, zżytych i zespolonych jednym duchem.

Wybrańcy ci to fundament przyszłej drużyny. Wyćwiczonymi będą wtenczas, kiedy samego mistrza prześcigną. Powinniśmy w tym wypadku trzymać się zasady: Prawdziwym zadowoleniem mistrza jest, gdy jego uczeń sam w wiedzy zaczyna go przewyższać.

Oto wtenczas druhu będziesz miał z nich dobrych kierowników zastępów.

Wtenczas możesz dopiero założyć we wsi tak zwaną drużynę. Jeżeli masz zakładać nie mając tych kilku ludzi wyćwiczonych, stokroć lepiej zrobisz gdy dasz temu spokój, a w ten sposób komuś innemu pracy nie utrudnisz. Nie można nigdy robić mniej zastępów jak masz tych

chłopców wyszkolonych, ponieważ ten jeden bez zastępu wśród innych siac by mógł niezgodę, a tym samym niweczyć twą pracę. Dlatego się to dzieć może, iż na wsi chłopcy zapatrują się zbyt powierzchownie na te sprawy przynajmniej z początku i narazie. Zresztą to będzie zależało jaki charakter w tym chłopcu wyrobiłeś.

A więc mając to ogłosz iż zakładasz harcerstwo w danej wiosce. Chłopców zgłoszonych podziel na zastępy, daj im swych wyżej wymienionych, wyszkolonych kandydatów na zastępowych. Każdy zastęp niech obierze sobie jednego z nich.

Po objęciu komendy nad zastępami przez kandydatów, nie należy przestawać pouczania ich, lecz nadal pracę z nimi prowadzić, przekonując ich najprzód o wielkiej roli zastępowego. Każdy zastępowy ma pamiętać, że jaki on, taki zastęp, jaki zastęp taka drużyna.

Zastępowy wszelkimi siłami powinien się starać, aby zastęp jego był pierwszy. Dlatego numerować należy zastępy według sprawności. Wszyscy zaś zastępowi winni pracę prowadzić w ten sposób by jeden z drugim szedł w zawody, a razem zaś w jak największej harmonii starać się powinni, by drużyna ich była pierwszą wśród innych, by drużyna ich świeciła przykładem wszystkim innym.

Wtedy to zastępowi będą dumni z tego, a tymsamem i wszyscy druhowie danej drużyny. W drużynie takiej, która była założona z pewnym planem, z wszelkimi przygotowaniami ku temu uprzednio, pierzchną wszystkie trudności, bo będzie miał kto pracować i zimą i latem, ponieważ chłopcy wybrani na zastępowych są chłopcami ze wsi, lecz chłopcami o pewnej już wiedzy.

Z chwilą gdy już istnieje tak dobrze zorganizowana drużyna, należy wśród chłopców zwalczyć samolubstwo, brak poczucia obowiązkowości, wyrobić z nich również jedno ciało żyjące w większym zakresie. Również tym ciałem można z jak największą harmonią operować.

Zniknęły zatem prawie wszystkie przeszkody, a jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej pierwsze i zasadnicze. Wszelkie inne również zwalczyć można.

Cóż wtedy druhu robisz?

O napewno zaśmieje ci się dusza i powiesz: Ha! kiedy tak, to nie zaśpię, lecz poprowadzę dalej swoje dzieło.

Poprowadzę! I niech wiem, że wytrwale spełnię swój święty obowiązek. A gdyby tak wszyscy czynili?

Wtedy naród nasz stałby się narodem świecącym przykładem wszystkim innym. I naprawdę można powiedzieć: Słuszność miał ów mąż, który powiedział, iż nie byłoby dla niego nic

droższego jak widzieć Ojczyznę, której wszyscy synowie byliby harcerzami. Każdy z nas tego pragnąć powinien. I niech każdy z nas rzecze sobie w duchu: „Tak, a więc do pracy!”

Zygmunt Stefańczyk
drużynowy.

Dmenin, dn. 15 marca, 1919 r.

□□□□□□□□

Ci co odeszli na wieczną wartę.

ś. † p.

TADEUSZ GUTOWSKI

przyboczny drużyny harcerskiej imienia Zawiszy Czarnego, sierżant I pp. Brygady Strzelców. Podporucznik 6 pp. Legionów, poległ śmiercią walecznych dnia 22 czerwca na froncie wschodnim.

SPISZ I ORAWA.

(Zabór węgierski).

Wszyscy wiemy o zaborze rosyjskim, pruskim i austriackim. Wiemy, że trzy mocarstwa podzieliły Polskę między siebie i starały się nie Niemczyć i ruszczyć. Zapominamy jednak zupełnie o czwartym państwie, które wynarodziło się w tym czasie, a które stało się stałe ziemię podstępem i przemocą narodziło. Państwem tem są Węgry, a ziemiami, które starają się zmadziaryzować: (zrobić węgierskimi — Węgier inaczej Madzjar) Spisz i Orawa. — Czas przypomnieć sobie obecnie, kiedy Ojczyzna nasza zmartwychwstaje, o tych dziełach, do których ma ona niezaprzeczone prawa, jako do dawnego kraju swojego, stanowiącego niegdyś Polskę południową. — Przypatrzmy się najpierw dokładnie, gdzie leżą te zaniedbane przez nas kresy?

Sąsiadują z dobrze nam znanymi Tatrami. Potężny ten grzbiet granitowy, otaczają 4 wódziny: z północy Podhale z rzeką Dunajcem, z południa Liptów z Wagiem, ze wschodu Spisz z Popradem, z zachodu Orawa z rzeką tej nazwy. — Te duże ostatnie dzielnice stanowią właśnie zabór węgierski, który zajmuje jeszcze spory szmat ziemi na południe Tatr.

Cała ta kraina, zagarnięta przez chciwych sąsiadów, łączy się z Tatrami ścisłymi węzłami

przyrody, bo dolina Orawy jest ich dalszym ciągiem. Ma takie same pokłady mineralne, skład ziemi, także uwarstwienie. Orawa, Podhale i część Spiszu, to jedna całość geograficzna, linią polityczną rozdzielona.

Spisz graniczy z północy z Galicją. Między temi dwoma ziemiami płynie Białka, Dunajec i Poprad, który wraz z inną rzeką Hornadem przecina Spisz. Poprad, jako dopływ Dunajca, należy do wód Morza Bałtyckiego, przez co cały ten kraj jest związany naturą swoją z Polską.

Druga część zaboru węgierskiego, Orawa, leży w północno-wschodniej stronie Węgier, jakby wciśnięta w Galicję zachodnią. Jej granicę stanowią Beskidy. Od wschodu i północy sąsiaduje z Podhalem czyli wyżyną Nowotarską i jak wspomniano już, tworzy z niem razem jedną całość. Ta jest tylko różnica, że rzeka Orawa należy do zlewiska wód Morza Czarnego, a nie Bałtyku. Nad Orawą króluje Babia Góra, znane dobrze podróżnikom, tamte strony zwiedzającym. Orawa to kraj kamienisty, mało urodzajny, a co za tem idzie, biedny. Jedynym jej bogactwem są pokłady torfowe i węglowe.

ROZDZIAŁ I.

Dzieje Spiszu i Orawy.

Znany już położenie geograficzne Spiszu i Orawy. Poznajmy jednak ich dzieje. Dowiedzmy się jakie prawo do nich daje nam przeszłość, jak się losy ich z Polską wiązały. — Musimy w tym celu sięgnąć w zamierzchłe czasy. Góry nie stanowiły nieprzebytej zapory, nie umożliwiały stosunków między sąsiednimi krajami. Przed powstaniem państwa polskiego jeszcze t. j. przeszło tysiąc lat temu, przodkowie nasi dążyli przez Karpaty (Tatry są tylko najwyższą częścią długiego łańcucha gór: Karpatami zwanego) na południe i tam się osiedlali. Ludność więc za Karpatami, w północnych Węgrzech mieszkającą, uważać należy nie za napływową, lecz za rdzenną, tubylczą, za prawowitą dziedziczkę tej ziemi.

Bolesław Chrobry, twórca potęgi Polski, zdobył kraj, za Karpatami leżący. Miecz jego dotarł daleko w głąb dzisiejszych Węgier aż do szerokiego Dunaju. Za rycerzami szli osadnicy, i zakładali wioski. Nazwy tych ostatnich świadczą o pierwszych ich twórcach. Niestety nie utrzymaliśmy wszystkich zdobyczy wielkiego króla naszego, lecz stracili niejedną z nich. Węgrzy zabrali nam znaczną część kraju zakarpackiego. Granicą między Polską a Węgrami była potem linia Wagu, Niższych Tatr i Hornedu. Prawdziwość jej stwierdzają nie tylko dokumenty, ale i przetrwanie jej dotąd w tradycji ludowej,

która powiada, że „sprawiedliwa granica jest trzy mile za Koszycami u genciańskich mostów” opodal miasta Göncz nad Hornedem poniżej Koszyc. Tak daleko sięgała ojczyzna nasza w XI w. W XII za Krzywoustego t. zn. osiemset lat temu Węgrzy zagarnęli nam większą część Spiszu. W dalszym ciągu Polska, podzielona między licznych książąt, nie była w stanie utrzymać kresów swoich. W początku następnego t. j. XIII stulecia skurczyły się one pod naporem zaborczych sąsiadów. W każdym razie faktem jest niezaprzeczonym, że Spisz w XI w. był własnością polską. Naszą winą było, że nie myśleliśmy o odległych na krańcach państwa leżących dzielnicach. Nie mieliśmy przytem tych zdolności gospodarczych, jakie w wysokim stopniu posiadali Węgrzy. Rozpoczęli oni kolonizację (zakładanie osad) na Spiszu, do czego używali Niemców. Prowadzili tę pracę doskonale, planowo, z wielką energią, ale w zachłanności swojej posuwali się za daleko, gdyż sięgnęli w dziedzictwo Polski, dotarli aż do brzegów Dunajca. Zajęli więc naszą własność i uważali ją za swoją. Kościelna zależność tych ziem od biskupstwa krakowskiego świadczyła jedynie, że były nam nieprawnie zabrane i stanowiły poprzednio całość z Polską.

Zmiana nastąpiła znowu w XV w., kiedy dawna Piastów koronę dzierżył Władysław Jagiełło. Król czeski i węgierski Zygmunt Luksemburski, był stale wrogo nam usposobiony, a że potrzebował zawsze pieniędzy, więc zwrócił się do Jagiełły z następującą propozycją: pożyczania mu większej sumy „w zastaw za ziemię spiską, do Węgier należąca.” Nasz król, z natury dobroduszny, zgodził się na to. Tak stanęła umowa, która zmieniła zasadniczo stosunki na Spiszu. Zygmunt Luksemburski zastawił Jagielle szesnastę miast spiskich za 37 (trzydzieści siedem) tysięcy kop groszy pragskich. Wszelkie dochody z nich miały należeć do Polski jak również sądownictwo nad mieszkańcami tak długo, dopóki cała suma nie zostanie przez Zygmunta lub następców jego wypłacona według przepisanych warunków. Umowa powyższa była o tyle dla nas nie korzystną, że zastaw był zbyt niski w stosunku do obszaru ziemi. Nie otrzymaliśmy całego Spiszu, lecz zaledwie 1/6 część jego. Przy Węgrach pozostał zatem przeważający szmat kraju spiskiego. Z szesnastu miast trzy: Lubowla, Podoliniec i Gwiazdo były stanowczo własnością naszą, zapomocą kolonizacji węgierskiej nam wydartą. Wracały one właściwie do dawnej macierzy, a nie dostawały się jak tamte drogą zastawu. To też w aktach późniejszych polskich jak i węgierskich mówiono osobno o nich, a osobno o tamtych 13-tu miastach. Wszystkie

razem nie stanowiły jednej zwartej całości. Przeciwnie były rozproszone po różnych okolicach i oddzielone od siebie posiadłościami węgierskimi. Przyjrzyjmy się dobrze na mapie, które i gdzie leżące miasta zastawił Zygmunt Jagiełło. Są nimi Biała Spiska, Lubica, Wierzbów, Włachy, Nowa Wieś Spiska, Sobota Spiska, Poprad, Straża, Ruskinowce, Wielka, Podgrodzie Spiskie, Maciejowce, Twaróżna. Znana z poszanowania praw i wolności poddanych swoich Rzplita Polska popozostała i tym razem wierna tradycji. Jagiełło bowiem zaraz po objęciu władzy nad miastami spiskimi zatwierdził im dotychczasowe przywileje, chociaż nie był umową z Zygmuntem do tego zobowiązany.

Węgrzy nie byli radzi z pozbycia się kawałka kraju, gdyż dążyli do odzyskania go usilnie. Chcieli to jednak uczynić bez pieniędzy. Zamiast zwrotu suny proponowali różne ustępstwa i korzyści. Polacy sprzeciwiali się temu stanowczo. Zatargi między obu państwami potwarzały się często. Wreszcie w r. 1489, gdy Węgrzy ponownie wystąpili o zwrot zastawionych miast, oddano sprawę pod sąd rozjemczy. Składał się on z równej ilości Węgrów i Polaków, a obradował w Wrocławiu. Wyrok jego uznał przedawnieniu zastawu i przysądził zamki i miasta spiskie po wieczyste cesary królowi polskiemu. I to jednak nie przełamało uporu Madziarów. Po kilkudziesięciu latach rozpoczęli znów dawne starania.

Od połowy 15 do połowy 18 w. wytaczali na każdym sejmie sprawę Spiszu, jako przedmiot sporny. Dowodzili: że jest on integralną częścią ich kraju „w wnętrznościach jego tkwiącą”. Polska znów uważała go za odwieczną swoją własność, opierała się na akcie przedawnienia. Twierdzenia Węgrów nie były poparte przez rzeczywistość, która zupełnie co innego mówiła. Bezstronni historycy węgierscy nawet przyznają, że miasta spiskie już w 16 w. nie uważały się za przynależne do Węgier. Wzmogło się u nich natomiast przywiązanie do Korony Polskiej. Lepiej było im w wolnej i swobodnej Rzplitej niż pod uciskającym je rządem Madziarów.

Przewrotność i chciwość wzięły jednak górę nad sprawiedliwością i poczuciem narodowościowym ludów. W r. 1772 dokonany został na bezbronnej Rzplitej gwałt pierwszego rozbioru. Wtedy to straciliśmy miasta spiskie. Na kilka lat przedtem już rozpoczęto przedwstępne działania w tym kierunku. Pomysł ten poddał Austrii ten sam człowiek, w którego głowie powstała myśl podziału Polski. Człowiekiem tym był Fryderyk II, król pruski. Zagarnięcie Spiszu przez Austrię odpowiadało obłudnym jego planom. Rząd austriacki nie był przeciwny otrzy-

maniu cennego kęsa. Ustawił więc w r. 1769 kordon wojskowy na granicy polsko-węgierskiej pod pozorem ochrony przed szerszącą się w Polsce konfederacją barską i zarazą, w tym czasie wybuchłą. Był to czczy wybieg tylko. Chciwość Austrii okazała się w całej pełni. Wojska jej wkraczały bez żadnych skrępowań w terytorjum polskie, gdzie granice nie były ściśle określone, tak, że doszły aż pod Sądeczynę. Przedewszystkiem zaś zajęły Spisz. Rząd austr. stwierdził prawo do niego dokumentami węgierskimi jedynie. Nie odniósł się wcale do polskich aktów. Mimo to jednak prawo Austrii do Spiszu wypadły nadzwyczaj niewyraźne, słabe i bezpodstawne. Sam kanclerz jej, hr. Kaunitz, obawiał się, że Polacy słusznie „przedsięwzięcie nasze (węgierskie) nazwą zaborem.” Marja Teresa zaś w jednym z listów wyraziła się: „mam bardzo mizerne pojęcie o naszych tytułach” (t. j. prawach do danych ziem). Żądza łupu przeważała jednak szalę. Napróżno dopominali się Polacy o swoją własność. Napróżno pisał sam Stanisław August do Marji Teresy. Nic to wszystko nie pomogło—1772 r. na mocy pierwszego rozbioru przyznano Austrii Galicję ze Spiszem, który wcielony został do krajów korony węgierskiej.

* * *

Jakież były losy drugiej ziemi, którą nam Węgrzy zagarnęli? Orawa, której położenie geograficzne, też już znamy, stanowiła własność Polski aż do wieku XIII na mocy dawnego układu, według którego Tatra stanowiły granicę między Polską a Węgrami. Orawa leżała na północ Tatr, więc tem samem była posiadłością polską. Dopiero 1267 r. król węgierski Bela IV kupił od rodziny Balaszów gród pograniczny czyli dzisiejsze zamki orawskie wraz z obszernymi dobrami. Reszta Orawy pozostała u nas. W XIV w. Węgrzy zagarnęli znów kawałek ziemi mianowicie Dolną Orawę. Granica polsko-węgierska biegła wtedy wzdłuż linii Białej Orawy i Orawicy pod Twardoszyńcem. Za nimi ciągnęła się puszczę, a ziemia była nieurodzajna Węgrzy rozpoczęli tutaj również jak na Spiszu kolonizację. Niewiadomo dokładnie, kiedy przesunęli granicę na północ bezprawnie i z krzywdą naszą.

Zamki orawskie stanowiły właściwie o dziejach całej dzielnicy. Losy ich łączyły się ściśle z sobą. Jeszcze za prastarych czasów pogańskich istniało tam grodzisko słowiańskie. Ludwik, król węgierski, zbudował w tem miejscu zamek, abz ułatwić drogę z Węgier do Polski. Przebywał w nim nieraz. Gościł tam też nasz Kazimierz Wielki. Zamki orawskie pozostawały często wskutek zastawu czy darowizny we władaniu panów polskich. Trwało to z małemi przer-

wami aż do w. 18-go i przyczyniło się do utrzymania polskości na Orawie.

ROZDZIAŁ II.

Kulturalna Łączność Spiszu i Orawy z Polską.

Z poprzedniego rozdziału znamy dzieje Spiszu i Orawy. Wiemy że dawno oba te kraje oddpadły od Polski, ale mimo to łączności narodowej z pierwotną macierzą swoją nie straciły.

Najlepszym niezbitym dowodem tej łączności jest język, którym się dotąd posługują, a który zowią „naszym.” Spiszak czy Orawiak na zapytanie, po jakimu mówi, odpowiada: „po naszymu.” Jest to ta sama gwara góralska, której używają Podhalanie, gwara ludowa, ale czysto polska. Znajdziemy w niej wszystkie brzmienia, właściwe naszemu językowi: ł, ć, ś, ń, dz, dź, ż, z, nawet nosowe dźwięki ę i ą. Tak samo jak i Mazurzy tak i górale mówią s, c, z, zamiast sz, cz, ź. Język ten jest wprawdzie trochę zmieniony przez ciągłe obcowanie ze Słowakami (lud słowiański zamieszkujący północne okolice Węgier), ale mimo te naleciałości każdy Polak z głębi kraju: Mazowsza czy Wielkopolski zrozumie doskonale rodaków z kresów południowych. Aby się o tem przekonać, posłuchajmy piosenki spiskiej: „Weleciol ptosek ze Lwowa, Siod se na koniec Krakowa, Tak sobie sumnie zanóciul, Jak się ten Kraków obruciul,” albo przeczytajmy pieśń kościelną do Matki Boskiej: „Ce mi tu tak beć w uherski krajine, Ce Mareii sluzei pr i jej obronie” (czy mi tu tak być w węgierskiej krainie, czy Maryi służyć przy jej obronie). Z jaką radością odczytamy w zapadłych wsiach spiskich i orawskich napisy polskie na nagrobkach n. p. „Przechodniu, westchnij do Boga za fundatorów tego pomnika” lub: „Tu odpoczywa w Bogu Józef Moćka (!) młodzieniec, który zabity został dnia 8 septembra 1873 r. w 23-cim roku życia swego.” Lud nasz podtatrzański nie tylko mówi, ale i modli się chętnie na polskiej księżce, choć mu trudno ją czytać bo szkoła go tego nie uczy. A jednak i modlitewniki ma polskie i pieśni nasze śpiewa i gromadnie odbywa pielgrzymki do cudownych miejsc naszych: Częstochowy i Kalwarii Zebrzydowskiej. Pilnuje nawet czystości języka i jak może bronili się przeciw narzucanym nazwom węgierskim. Nie uznaje Uj-Beli, Nedeczu, Reichwaldu, Hanusfalwa, lecz Białą Niedzicę, Rychwałę, Hanuszowiec. Kiedy przestaje z Polakami wykształconymi, to dziwi się że mówią oni tym samym językiem, tylko „jakoś piękniej”, bo na Spiszu ani Orawie inteligencji polskiej niema niestety zupełnie.

Prócz języka istnieją jeszcze inne dowody, świadczące o bliskim pokrewieństwie Orawy i Spiszu z Podhalem, a zarazem o dawnej jego łączności z Polską. Sposób budowania, zycia, odzież narządzenia chaty, zwyczaje i obyczaje są nawskroś nasze. Np. lud orawski mierzy ziemię na „siagi”. Każda posiadłość liczy wszcztery siagi i „ciągnie się szerszym lub węższym pasem od jednej granicy wsi do drugiej, czyli jak tam mówią: „od chotara do chotara”.—Prosty strój góralski przypomina żywo ubiór Podhalan. Składa się z kierpci, spodni białych, ciemnej guńki z samodziału wełnianego, pasa, koszuli parcianej i kapelusza czarnego z wywinętymi do góry brzegami. Nazywają go „kłobukiem”, jest on charakterystyczny dla Orawca.

Wieś kresów południowych posiada zagrody nie uszeregowane równo obok drogi, lecz porzrucane na znacznej przestrzeni jak w innych dzielnicach kraju. Między chatami niema licznych sadów ani drzew. Chałupy drewniane zwrócone są przeważnie bokiem do gościńca. Spotkać w nich można często, oddrzwia półokrągłe, daszki przyzbowe i okapowe, szczyty dachów ostro-trójkątne, cofnięte od ściany szczytowej, a jako ozdobę prócz wielu innych motyw promiennego słońca. Całe wogóle budownictwo drewniane jak i murowane czyli t. zw. architektura ma cechy wybitnie polskie, odróżniające ją wyraźnie od stylów (sposobów budowania) niemieckiego i włoskiego. Szczególniej na Spiszu znać bardzo silny wpływ sztuki polskiej, a przeważnie krakowskiej. Uderzy nas to, kiedy spojrzymy na zamek w Frydmanie, wieże w Podolińcu i Kiesmarku. W innem miście spiskim, Leworzy, domy przypominają ozdobami swemi Sukiennice w Krakowie, a kościół św. Jakóba—Marjacki Przybytek Pański. Nawet ołtarze jego są naśladownictwem arcydzieła Wita Stwosza. Inne kościoły i dzwonnice mają również charakter czysto polski, czy to będzie w Lubowni, Podolińcu, Gronostowie na Spiszu, czy Jabłonce, Podwilku, Piekielniku na Orawie.

A czemże się trudni ten lud, nam tak blizki, z natury łatwy, uprzejmy i wesoły. Na Spiszu głównem zajęciem jego jest: rolnictwo, pasterstwo, a także górnictwo i hutnictwo. Te dwa ostatnie zawody wyrobiły w Spiszakach pewną przedsiębiorczość, dążący do jaknajmniej-szego wydobywania minerałów i odpowiedniego ich zastosowywania. Dla Orawy natura nie była hojną. Ziemia w niej nieurodzajna, skalista. Udać się na niej tylko owies i kartosle, żyto należy do wyjątków. Trzeba dużo pracy włożyć w uprawę roli, a nie osiąga się plonu obfitego. Bogatych gospodarzy „grubych gazdów” mało tam jest. Prócz rolnictwa zajmują się jeszcze Ora-

wiacy pasterstwem. Bieda i marne pożywienie wypędza ich na zarobek, jako szklarzy i drucia-ry, wgląb Polski, a nawet do dalekiej Szwecji. Gromadnie udają się też do Ameryki. Wychodź- two jest zjawiskiem powszechnem. Na szczęście nie wynaradawia ono ludu, który po kilku latach wraca do rodzinnej wioski i kupuje za uzbierany grosz nadewszystko przez siebie umiłowaną ziemię.

ROZDZIAŁ III.

Wynaradawianie Spiszu i Orawy.

Dziwnem wyda się czytelnikowi, kiedy się dowie, że lud spiski i orawski, mówiący dotąd po polsku i zachowujący mimo stulecia dźwięki, czystość mowy i wierność tradycji, nie ma wyraźnego jasnego poczucia polskości. Nie wie właściwie, kim jest. Na pytanie takie odpowiadają mieszkańcy Orawy, że nie są ani Słowakami, ani Polakami, lecz Orawcami. Przeczą, że ten „nasz” język, którym się posługują, jest językiem polskim. Podobnie, jak na północnych kresach naszych na Pomorzu, tak i tu narodo- wość ludu jest bierna, a nie czynna, polega na zachowaniu i trwaniu przy dawnem, a nie na zrozumieniu, czem jest ojczyzna, ani na koniecz- ności walki za nią. Uświadomienie narodowe należy niestety do wyjątków.

Nie należy czynić zarzutów z tego powodu ludowi naszemu. Wina spoczywa nie na nim, lecz na tym narodzie, który systematycznie za- bijał poczucie polskości w swoich poddanych. Czuwał nad tem, jak i w innych zaborach „naj- brutalniejszy z wszystkich madziarski żandarm, łącznie z wszechwplywowym żydem karczmar- zem”. Ci dwaj sprzymierzeńcy szli z sobą za- wsze ręka w rękę. W karczmie skupiał się duch niby postępowy, który polegał na pogar- dzaniu wszystkim, co swojskie, narodowe, a sze- rzeniu węgierszczyzny na każdym polu. Chłop zależny materialnie od żyda, odnosił się do nie- go, jak do władcy, stawał prawie narówni „pana karczmarza i pana fararza”.

Stosunki wiejskie były tylko odbiciem du- cha, jaki w całych Węgrzech panował. Od końca 18 w. rząd węgierski prześladował stale narodowość polską. Uznawał tylko Słowaków i Rusinów i do nich zaliczał Polaków. Sto dwa- dzieścia pięć tysięcy ludności polskiej skupionej w blisko 128 osadach (Spisz 60 tysięcy w około 80-ciu osadach, Orawa 48 tysięcy w 38 osadach) nie posiada ani jednej szkoły polskiej, ani jedne- go duchownego polskiego. Księżmi są tylko Rusini lub Słowacy, nauczycielami Słowacy lub Węgrzy. Orawiak ani Spiszak nie słyszy więc nigdzie mowy ojczystej. Podlega podwójnemu

wplywowi wynaradawiania: węgierskiemu i sło- wackiemu. Ten ostatni jest o tyle groźniejszy, że językiem jest więcej zbliżony do polskiego, stąd łatwiej psuje czystość jego swojemi nale- ciałościami. Kto z ludu naszego kształcił się wyżej, kto został urzędnikiem ten zaczynał już mówić po węgiersku. Nawet słowackie narze- cze, jako powszechniej używane, uważano za coś lepszego i wyższego i dlatego posługiwano się niem chętnie. Cudem prawie utrzymał lud gwara polską. Nabożeństwa, książki, kazania, spowiedź, to wszystko odbywa się po słowacku. Przyczynia się to do dziwnych wydarzeń np. lud w kościele śpiewa i modli się po polsku, ale z chwilą wejścia księdza przechodzi odrazu na język słowacki.

Inaczej było za czasów wolnej Rzplitej, inaczej jest teraz pod rządem węgierskim. W gnę- bieniu narodowości polskiej nie ustępuje on gwał- tom i bezprawiom pruskim. Dobrze maluje obłu- dę jego następujący fakt. Władze austriackie prześladowały za pracę narodową księdza Stoja- łowskiego. On szukał przed niemi schronienia na Węgrzech. Przyjeżdżał tam z poszanowa- niem, jako „męczennika wolności”, pozwolono- nawet na urządzenie drukarni pism swoich. Ale kiedy ten sam ksiądz chciał stworzyć stronn- ctwo ludowe na Spiszu „zaraz zabroniono mu pobytu wśród polskich wsi”. Tak samo jak Prusacy w Wielkopolsce, tak Węgrzy w swoim zaborze zmieniali czysto polskie nazwy na węgier- skie np. Żilinę na Zsolnę, Twardoszyn na Fur- dosin. Używali przytem wybiegów wstrętnych postrachu i przekupstwa, a także obietnicy na- gród i posad. Tym ostatnim sposobem w miej- scowości Skalista ujęli sobie gminy, tak, że ona sama podała prośbę o zmianę nazwy Skalista na Sziklaszoros. Rząd do życzenia jej łaskawie się przychylił.

ZAKOŃCZENIE.

Smutna jest więc i ciężka dola Spisz- i Orawy. Lud biedny, ciemny, znosić musi sro- gie prześladowanie. Tem większą zasługą jest utrzymanie tradycji i mowy polskiej, że ni- miał on ani pomocy ani oparcia w reszcie spo- łeczeństwa.

Wielką winą naszą jest zaniedbanie kresów południowych, pozostawienie ich samym sobie poprostu zapomnienie o nich, mimo, że spo- sobności zetknięcia się z ludem tamtejszym ni- brakło. Spotykało się go handlującym na ja- markach, szukającym pracy u nas w polu cz- lesie. A jakież gromady jego szły na odpust do Kalwarji Zebrzydowskiej?

Gnębiony, nieszczęśliwy naród polski ni- miał już widocznie sił po temu, aby walczy

jeszcze z jednym wrogiem. Nikt nie upomniał się u rządu węgierskiego — ani o szkołę, ani o duchownego polskiego, aby lud mógł w ro- dzinnej mowie uczyć się, modlić i spowiadać. Nikt nie starał się walczyć o prawa dla języka ojczystego w gminach i urzędach.

W teraźniejszych czasach wielkich prze- wrotów dziejowych, kiedy wolność dla Polski zaświtała i Ojczyzna wielka i potężna ma pow- stać, świętym obowiązkiem naszym jest pamiętać o zaniedbanych kresach. Prawo do nich daje nam i przyroda i historia i wytrwała wierność ludu. Nawet sami Węgrzy przyznają i piszą w dziennikach, że „jedni Polacy przychodzą na Węgry jako prawi dziedzice swej własności” w przeciwieństwie do Czechów, którzy przy- właszczają sobie, nie należące im, ziemię.

Obowiązek ratowania starej piastowej spu- szczy, spada na całe społeczeństwo. Niech ka- żdy jak może i umie dopomaga doniosłej spra- wie. Niech sam pamięta i tłumaczy innym, że Austria zajęła kraj nasz bez żadnego układu z Polską, czego prawa międzynarodowe wyma- gają. Polska protestuje przeciw gwałtowi, nad- dokonanemu i żąda zwrotu ziemi, której lu- dność sama pragnie wrócić pod skrzydła macie- rzy wolnej i wolnością dzieci swoje obdarzającej.

Warszawa, Marzec 1919 r.



Pieśń Górnego Śląska.

Tam gdzie Odry wody siwe
żegnawszy Wisłę siostrę
o górnośląską płyną niwę
przez morawskie skały ostre

tam rozległy kraj piastowy
w kruszce i serca bogaty
tam dźwięk naszej słynnej mowy
tam i nasze stare chaty.

Nad tym Krajem nasza straż
nasze ślubowanie:

Był i wiecznie będzie nasz
Póki sił nam stanie

Stoją tam u wrot narodu
ludu polskiego tysiące
z piastowego wszysej rodu
wszystkich serca gorejące.

Co ten lud Piastowski Stary,
ze snu otwarłszy powieki,
na swe tegie weźmie bary
to utrzyma i przez wieki

Przy tym ludzie nasza straż
To nam ślubowanie.
Był i wiecznie będzie nasz
Póki sił nam stanie.



Od Redakcji.

Po niniejszym numerze przedwakacyjnym nastąpi kilkotygodniowa przerwa. Następny wyj- dzie w końcu Sierpnia i rozsyłamy będzie we Wrześniu. Wszystkie numery wrześniowe zaczy- nając od Nr. 33 ukazywać się będą normalnie.

Redakcja będzie czynną przez cały czas przerwy, ale tylko w stosunkach pocztowych t. j. będą ją dochodziły listy wysyłane pod zwy- kłym adresem. Prosimy o nadsyłanie artykułów do numerów powakacyjnych.

Administracja prosi o wznowienie przed- platy, gdyż N-ry drugiego półrocza bez zamó- wień nie będą rozsyłane.

□□□□□□□□

Z SASPOWSKIEJ DOLINY.

(Głos z kolonji).

Szczerze mi cię żal ta braci harcера, która teraz jeszcze gdy lato zaczyna zsyłać żar na ziemię, musisz jeszcze piec się w miastach. My już od tygodni siedzimy sobie na wsi.

O, naszej drużynie udało się w tym roku! Już w pierwszych dniach czerwca znalazłyśmy się na kolonji w Ojcowie. Pierwsze kolonje drużyny!

Każdy kto był ze swą drużyną choć na jednej dłuższej wycieczce, zrozumie czym dla żytej drużyny są jej własne kolonje, zwłaszcza gdy się na nich zgromadzi cała stara gwardja drużyny.

Chcicie może wiedzieć, jak jest zorganizowana kolonja? Kto chce zobaczyć, może przyjechać (willa „Swoboda“), ale przez pierwsze tygodnie tak dobrze praca szła, że posądzałibyście nas o przechwalanie się, my zaś same przewidzieć nie możemy, czy długo w dobrym wytrwamy. Relacja z całych kolonji, z organizacji i podziału pracy jeszcze was nie minie, ale o tym potem.

Kto zna dolinę Prądnika, ten zwrócił pewnie uwagę na jej dwoisty charakter. W dzień jasna, pogodna, zielona, ożywiona wesołym pluskaniem Prądnika, wieczorem ponura i dziwnie smutna, a Prądnik szumi jak w dzień, tylko tak tęskno jakoś, inaczej. Białe strome skały sterczą dumnie na zboczach doliny i mówią. O, bo te straszne, a zarazem tak przepiękne skały umieją przemawiać. A mówią one słowa pokusy i grozy zarazem, mówią: „Chodź do nas, chodź, patrz, jakieśmy piękne, chodź, będziesz tak wysoko, tak blisko nieba, chodź, ale już więcej nie wrócisz. A krzyże, które smutnie wyciągają ramiona na wierzchołkach niedostępnych skał, świadczą, że niejedyn świadek nie umiał się oprzeć urokowi skał, ale więcej nie wrócił. Straszne, choć piękne, są skały Ojcowskie dla dzieci równin mazowieckich, smutno jest mieszkać w dolinie, gdzie tak daleko, daleko do nieba. Ale tylko wieczorem tak smutno, bo w dzień gdy słońce potokami światła zaleje całą dolinę, gdy jasne promienie ślizgają się po powierzchni strumyka, gdy złotem jaskrów przetykana łąka, iskrzy się od kropel rosy, a wtedy wesoło jest nad naszą Saspowską.

Życie zbudziło się w całej pełni, nas ogarnia wesoły nastrój przyrody, tęsknota do nieba i do słońca przekształca się w chęć czynu. Wyrwamy się w górę; w górę bez końca, bez końca, byłoby tylko być jaknajwyżej, stanąć jaknajbliżej nieba i całą ziemię wzrokiem ogarnąć.

Wy, znawcy Tatr i Karpat, nie lekceważcie naszych uczuć, bo źleby było, gdyby w nas nie powstały. To dążenie coraz wyżej i wyżej, raz zbudzo nie zanika i na długo staje się bodźcem człowiekowi.

Niestety dopiero trzy razy tęsknota w górę znalazła ujście w czynie, zrobiliśmy zaledwie trzy większe przechadzki. Raz poszliśmy za Bramę Krakowską i tam na odległym nieco wzgórzu, na polanie, budowałamy kuchnie polowe. A jakie kuchnie? Modele z „Vada mecum“ byłyby niczym wobec tych kuchni (trudno przecież pamiętać długo, że jedna miała dołek nieco za głęboki, druga zaś otwór trochę za mały i tylko dwie pozostałe były bez zarzutu).

Drużyna miała odmienny charakter, bo uzbrowszy się w nasze śliczne ojcowskie kije i ciupagi, powędrowaliśmy niedaleką górę, Sfinksa, która swą nazwę zawdzięcza stojącej u szczytu skale, która do złudzenia kształtem naśladuje Sfinksa. Na szczycie góry odbyła się wielka gawęda krajoznawcza słusznie nazwana gawędą, bo żadna nie milczała, a ta co miała mówić, niezawsze mogła dojść do słowa. Ale jakżeż można było milczeć, kiedy w jednej chwili słońce wysunawszy się z tyłu, tytu chmur ozłociło cały Kraków i Kopiec Kościuszkowski i Wawel widać było z wieżą Marjacką...

Najgorsze to potem było schodzenie z gór bo te dwie (może bardzo pożyteczne, ale na nieznajomość pod słońcem istoty) fotografistki i botaniczki w jednej osobie, co krok schylały się wołając: „Stójcie, stójcie, mam wspaniałą rzecz, patrzcie napewno górska roślina i rzadka! Z oddechem ulgi opuściłyśmy pokryte bujną roślinnością zbocza góry i weszły między skały. „No tutaj może już nas zatrzymać nie będąc. Znowu słyszymy: „Stójcie, zczekajcie tam, musicie to tylko sfotografować (nawiasem mówiąc to „tylko“ trwa 15 minut najmniej).

Na szczęście na trzecią przechadzkę jednę poszła jako wyłącznie botaniczka, druga jako wyłącznie fotografistka i to było lepiej. Trzecia przechadzka miała być na Chełmową górę i do groty Łokietka. Wszystkie z jednym przewodnikiem już wyruszyły — myśmy dwie musiały jeszcze zostać i wyruszyć dopiero za jakie 40 minut, kierując się zostawionymi przez dziewczęta znakami. Z początku idźmy bajecznie: droga wije się wprawdzie, rozwija się ale ślad wyraźny (czasem co 5 kroków, jak w kretynkach). Wreszcie w jednym miejscu, po długiej już drodze, strzałki znikają, natomczas znajdujemy list. Co to znaczy? W liście „s“ najwyraźniej:

„Duch Łokietka kieruje naszymi stopami, niech i was prowadzi. Amen“. Tajemnicze,

prawda? W dodatku bałyśmy się, czy naprawdę nie zostawiły nas jedynie duchowi, bo nasza intuicja nie wiem czy dobrzeby nas zaprowadziła. Na szczęście list był tylko nadzwyczajnym dodatkiem, bo strzałki szły dalej i wkrótce znalazłyśmy się wraz ze wszystkimi na szczycie Chełmowej, skąd trochę z pieca na łeb (według nas, mazurek, bo dla górali byłaby to równina) zeszliśmy do groty. Opisać wrażenia z groty trochę trudno. Trzebaby sięgnąć głębiej do pewnego kąta swych przeżyć duchowych, co to zaczęły powstawać podczas pierwszych baśni, opowiedzanych przez starą piastunkę. Sama grota jest bardzo obszerna i wysoka. Posiada parę rozgałęzień i dużych sal. Oglądałyśmy stół Łokietka, łóżko, kuchnię, i t. d. i podziwialiśmy bujną wyobraźnię ludu. Wszystko byłoby dobrze, z którego trudno było czasem wyciągnąć i woda, która ze sklepienia i z tatalaktytów kapiała właśnie za kołnierz (nigdy naczej).

To były trzy nie mogę powiedzieć ważniejsze momenty, życia kolonijnego, a ja bym wam chciała powiedzieć o wszystkim: o murzynkach i o krowie, o murzynkach i o krowie. Ale jak tu napisać, że mamy dwa małe murzynki na kolonjach (murzynku, wybaczyć, że cię tak nazywam, a nie ganię jak to lubisz), kiedy żeby mieć ich więcej trzeba je zobaczyć, trzeba mieć więcej klóć, jak się całują, jak się biją i przekarają, a jak w nocy jedna drugą okrywa, żeby było ciepło. Potym chciałabym opisać jak krowa raz chciała wejść do nas, gdyśmy na ce jady podwieczerek i nasz anioł-dozorca zyzwyczajony, że murzynki chętne są do wysłuchania, zawołał: „Murzynku, odpędź krowę“. Wysłuchanie, że murzynek wziął to za żart, gdzie m, złapał kij, chustkę i zaczął przekładać krowie słowem i czynem, żeby się odsunęła. Nie wiem jakby się to skończyło, ale zawołałyśmy murzynka, bo krowa była już mocno zła.

A może jesteście ciekawi, jak to kiedyś zygaliopowały trzy rumaki z dziewczętami i co bliższe, że nie dziewczętami na rumakach, rumaki na dziewczętach, bowiem te rumaki, dając z natury rzeczy żelaznymi łózkami umieją stać stojąc dźwigać ciężar na sobie. Ale widząc waszych minach, że słuchalibyście, gdyby o czego, a moje gędzenie coraz bardziej rozwija się w nicość, zostawiam was tedy naraz w spokoju, a z czym przyjdę w późniejszych numerach zobaczycie i wy i ja.

M' Dinah (z rodu buszmenów).

□□□□□□□□

Pod żaglem w górę Wisły.

Dawno już zamierzałem zrobić dłuższą wycieczkę Wisłą. Pierwszym projektem była jazda stateczkiem motorowym do Gdańska, potem do Krakowa, lecz brak benzyny i smarów, sparaliżował me plany. Wisła jednak pociągała mnie wciąż. Skorzystałem z umiejętności kierowania żaglami i zdecydowałem się na 2-3-dniową wycieczkę jachtem żaglowym, na którym od dłuższego czasu jeżdżę. Dobrałem więc towarzyszy: 2 majtków i pasażera, czyli dwóch komendantów plutonów i komendanta 3 drużyny i wspólnie naznaczyliśmy termin wyjazdu na wtorek na godz. 10 rano. Lecz harcerze zawiedli, we wtorek stawił się tylko jeden „marnarz.“ Okazało się, iż z pozostałych jeden był chory, a drugiemu mamusia zabroniła jechać z powodu „stopnia poniżej zera.“ Nie zwątpiłem jednak o wycieczce, lecz postanowiłem poszukać choć jednego jeszcze amatora zimna. Po długich staraniach trafiłem do starego kolegi z 25 drużyny. Ten na wieść o tak oryginalnym przedsięwzięciu, wyskoczył z łóżka — i był gotów. Zgromadziliśmy się na przystani, przygotowaliśmy jacht do podróży i pomimo odradzania wszystkich, żegnani życzeniami szczęśliwego i rychłego powrotu, wyjechaliśmy o godz. 1, na silnym wietrze w górę Wisły.

Z początku szło wszystko dobrze: płynęliśmy z prędkością 6 wiorst na godzinę, mielizny mijaliśmy łatwo. Za miastem jednak było gorzej. Chłód był przejmujący, wiatr też nie ogrzewał. Wtuleni w palta uważaliśmy, by równowaga była utrzymana i by woda nie lała się przez burty, dzięki pochyleniu łodzi. Co chwila rozlegała się komenda: Baczość! Pochyl na lewo! Żagle puść! a gdy niebezpieczeństwo przewrócenia się minęło: żagle ściągnij! Spoczniej!

Ręce zgrabiały nam zupełnie, a na domiar złego przez niezauważoną wpród szparę, zaczęła się lać woda strumieniem. Przybijamy więc do brzegu i po rozgrzaniu się sposobem strażackim, zatykamy dziurę papierem. Po chwili, jedziemy dalej. Wkrótce doganiamy jakąś łódkę rybacką, która postawiła żagiel i powoli płynie naprzód. Dowiadujemy się od rybaka, że oddalenie od Warszawy wynosi 8 wiorst. Po sprawdzeniu czasu okazało się, iż płyniemy z prędkością średnią 5-ciu wiorst na godz.

Wymijamy z ręcznie piaski i przemiały, orjentując się za pomocą „kijów“ i „wiech“, oznaczających mielizny z lewej i prawej strony. Krajobraz brzegów, z początku urozmaicony staje się jednostajny i smutny. Wiatr powoli „zcicha.“

dzinnym zaledwie wypoczynku, gdyż dłużej nam spać nie dały różne miłe pasożyty, rozpuściłyśmy nasze „pedały“ z następnego przystanku kolei—do Witowic. Po drodze zabawiłyśmy u księdza proboszcza w J., a po „pożywieniu“ się i... przedstawieniu walca granego na fisharmonii, w dwie godziny później znalazłyśmy się już na miejscu naszego przeznaczenia, pod serdeczną opieką p. hrabiny B. Tegoż jeszcze dnia zwiedziłyśmy dokładnie całą okolicę naszej kwatery, t. j. stajnię, oborę i t. d., uprzątnęłyśmy naszą izbę w szkółce dworskiej i wykąpane oraz „wytuszone“ prosto z nieba, zasnęłyśmy snem zasłużonych harcerzek z Tarnowa. Pierwszy tydzień spędziłyśmy bardzo pracowicie, prócz bowiem ćwiczeń i wycieczek—pomagałyśmy w polu.

Aj, aj, aj — skauci dwaj,
Jacy głośni obydwaj.

Cóż musiało się dziać u nas, gdy pewnego deszczowego dnia przyszło ich nie dwóch lecz dziesięciu, w znakomitych humorach choć byli zmarznięci i przemoknięci.

Po kółce, którą przyrządziła nasza sławna „kucharcja“, opiewana w wielu pieśniach, udaliśmy się wszyscy do dworu — o zgrozo! na zabawę z tańcami.

Harcerze mieli pomieszczenie w stodole na sianie, ponieważ nasze apartamenty były za ciasne do przyjęcia tylu gości. Dwa dni przebywali u nas harcerze, wyjadając nam marmoladę (do której reszta szczególną pałała sympatią), robiąc dużo hałasu i śpiewając od rana do wieczora. Dnia drugiego wydali nawet trzeci numer „Kaczki“ — „pisma obozu harcerskiego w Kończyskach — na emigracji w Witowicach.“ Aż trzeciego dnia wyruszyli do Kończysk, do swego obozu żegnani naszym „Czuwaj!“ Doszło później naszych uszu, że długo nas wspominali żalując, że dłużej w Witowicach nie zostali.

— My znowu spędzałyśmy czas na wycieczkach, ćwiczeniach, na jeździe łodzią po Dunajcu i t. d. Tak przeminął drugi i ostatni tydzień kolonii. Poczem z żalem żegnając Witowice, a przede wszystkim p. hrabinę B. i dziękując jej za tak serdeczną opiekę i staropolską gościnność, wracałyśmy do Tarnowa.

Tak minęły kolonie, lecz wspomnienia, zdaje się, zawsze pamiętnymi nam będą.

„Stoczka et consortes z Tarnowa.

Sonety harcerskie.

(Krakowskie).

I.

LAS WOLSKI.

Już zadymione znikły miejskich domów dachy,
Już powietrze czystsze, a wśród milej woni
Brać harcerską „biegiem marsz“ na wycieczkę goni,
Postrzegając na wróble nastawione strachy.

Na plecach jego ciężkie bimbają menażki,
Przy boku czekają na grubasnym pasie,
W plecaku chleb się uśmiecha krakowskiej kielbasie
W kieszeni kompas wyprawia igraszkę!

Czy znasz Lasu Wolskiego głębiny zielone?
Przecież każdemu znane, wszecz i wzdłuż zbrodzone
Tu się nie troszcz o grękę, ani o tacinę,

Skaut nurza się wśród drzewy i laska steruje,
Tu go gałązka smaga, tu go szpilka kłuje,
Owdzie młody krzak głogu chwytą za czuprynę.

II.

SOWINIEC. (Czterydah)

Kucharz: Widzisz, tam się błękitne w górę dym
[wznoszą,
Tu kuchnie dymią liczne wśród zielon
[darni,
Ciągną kuchciki, zupą Maggiego ciężar
Skauci dzwonią w menażki i o obiad proszą

Pielgrzym: Kucharzu! ja myślałem, że to raj Alla
Gdzie gawrony na drzewach szeregi
[siedzą,
Gdzie ambrozje proroki nieśmiertelnie jedzą
Gdzie ogrody piękniejsze, niż perskie
[szacha.

Kucharz: Pielgrzymie, patrz na drzewa pochyle
[wiekiem
I na mury z białego wzniesione kamien
Zniszczone zębem czasu, który wszyst
[zmienia.

Tu już zdawna huczały ogniska płomie
I zna to miejsce całe skautów pokole
To Sowiniec!

Pielgrzym: Aaaa!

J. S.

III.

SOWINIEC.

W kraju kędy Sowiniec puszcze swe rozszerza
W lasach napotkasz pełno leśno-dziko-zwierza,
Skauty pomiędzy nimi, jak zwykle, górują
I wdzięcznym basem chwałę swoją wyśpiewują,
Ci błękitnym językiem wodę chłopcą w rzece,
Ci braci swoich zwołują na wiece,
Koło ognia — (bo skauty sztukę ognia znają)
Osmalone potworki wesolo skakają.
Oto jeden wszedł w środek i nastaje cisza
I nawet nie poruszy swym ogonem mysza:
— Szanowni dobrodzieje, słuchajcie mej skargi:
Ja, dzięki Satyr, dzięki przygryzając wargi,
Z niebezpiecznego miejsca, skąd wszystkie Satyry
Wystrasza po kolei straszny świst siekiery,
Uciekam cwałem szybkim, a wszystkie me bole
Ukoić nic nie zdoła na ziemskim padole
Gdzie te miejsca rozkoszne, w których młode lata
Spędzaliśmy, daleko od miejskiego świata,
Gdzie pysk gęsto zarosły nikogo nie straszyl,
Gdzie nikogo nie widział, gdyś się w krzaku zaszył.
Tam harcerze w koszuli i pasie na brzuchu.
Dwumetrowym paznokciem drapią się po uchu,
Owdzie Satyrów brudnych obrosłe szeregi
Ze szczerym wyciem lasu oblatują brzegi,
Tam znowu Orang-Utang po drzewach się wspina
Skautów, mężów leśnych złośliwie przeklina.
Ach nigdy już nie wrócim w te rozkoszne kraje,
Którym, prócz dobrej zupy, czegoż nie dostaje?
Już wypłoszył nas stamtąd magistrat krakowski
[jego princeps sławny, książę Juliusz Włoski.
Płaczcie chochliki leśne, płaczcie krasnoludki
[Wolskim lesie budują magistrackie budki!*)

J. S.

IV.

PIEŚ WĘDROWNEGO SKAUTA.

Na zachód maszerują kawkę i gawrony,
Skaut wesolo wznosi kapelusz zielony.
Ach, żegnaj greko,
My idziem w świat daleko,
Et habet bonam pacem,
Qui sedat post fornacem.

*) Magistrat krakowski postanowił zamienić las Wolski, na miejsce ćwiczeń harcerskich drużyn krakowskich na park miejski.

My idziem przez wieś nocą,
Na ustach piosenka,
Światelka się migocą
I patrzy panienka.

Patrz kto to zgarbion wiekiem
Natychmiast z kwaśnym mlekiem
Venit ex sua domo
Beatus ille homo.

J. S.



Dowcip rodzinny.

„Kto to jest?“

Cwórkami wali — do góry głowa,
W piersiach harcerska dusza się chowa
Patrzy Basiénka, patrzy Maryna.
Co to za „fason“ — co to za mina
Kto to jest?

CHÓR: — To jest nasza drużyna.

Wojskowa czapka, cywilny kołnierz
Nie jest to cywil, ani też żołnierz,
Kręci drużyną na wszystkie strony
Lecz przede wszystkim... boi się żony!
Kto to jest?

CHÓR: — To jest nasz drużynowy.

Na samym przedzie, postać to czyja?
Strach bierze podejść do niej bez kija.
Głos ma okrutny, gębę surową
I karny raport co drugie słowo
Kto to jest?

CHÓR: — To komendant Wacek!

Nie jest to żołądź, ani też kura,
Nie jest to „biskopt“ ani też „ciura“
Jest to człeczyna spokojnej głowy,
Głos ma podobny do zdechłej sowy.
Kto to jest?

CHÓR: — To nasz pierwszy plutonowy.

□□□□□□□□

Pożar w Broniewie.

Słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając ostatnie promienie na ziemię. Powietrze przesycone było jakimś rozleniwiającym ciepłem. W obozie poruszano się wolno. Ogólne całodzienne zmęczenie oładnęło prawie wszystkim. Naraz od strony miasta nadleciało echo dzwonu strażackiego, z początku słabe, potem coraz głośniejsze... W obozie zatrąbiono na alarm. W pół minuty d-na obozowa stała na miejscu zbiórki bez hałasu, cicho, wyczekująco. Komendant dh. Mietek, wysłał odynansa po wieści. Po krótkiej chwili przybiegł ten ostatni z wiadomością, że pali się Broniewo, majątek pp. Szwejkowskich odległej od obozu o 3 km. Podzielono natychmiast drużynę na 3 oddziały. W skład I-go uchwycili ci, którzy mieli sprawność strażaka; II-go starsi i wytrzymalsi harcerze, komendę nad tym oddziałem objął druż Saturnin Lechowski, b. komendant IV-ej d-ny; w skład III-go weszli chłopcy młodszy. I-szy oddz. pobiegł do straży i tu powysiadł na wozy, drugi prawie całą drogę biegnąc, wyruszył wkrótce za pierwszym. III-ci oddz. wraz z druhem Mietkiem wyruszył na końcu. Cała droga do Broniewa roiła się od ludzi idących i biegnących, jadących na wozach, bryczkach, konno, a nawet i na rowerach. Pot oblewaliśmy nas, a biec na przełaj nie można było z powodu zboża, które stało na polu. Wreszcie dobiegamy z II-gim oddz. do pożaru. Okropny widok. Droga na około dworu i pastwiska zapchane trzodą, ludźmi śpieszącymi na ratunek, gawiedzią, wozami i t. d. Dym dochodził już do nas, gdyśmy wpadli na podwórko dworskie. Tutaj rwetes, tumult, jedni jechali inni już wracali z beczkami napełnionymi wodą na wozach, strażacy wraz z I-szą partją harcerzy zalewali sikawkami ogień i wypompowywali wodę z beczek przywożonych, Kazano nam iść na dachy budynków jeszcze nieobjętych ogniem. Po nadjeździe III-go oddz. obstawiliśmy nim trzodę na pastwisku; by nie pozwolić jej na rozbiegnięcie się oraz ustawiliśmy warty broniące gapiom wstępu do pożaru i wyniesionych rzeczy.

Dym gryzł w oczy, trudno było oddychać. Pomimo to przy pompach i na dachach pracowano w pocie czoła. Gorąco było nie do wytrzymania; jednakże niebo zlitowało się nad ratującymi i zesłało rześisty deszcz. Po kilkugodzinnych wysiłkach, ogień zaczął słabnąć. Wreszcie został prawie ugaszony. Sam dwór i główne budynki ocalały. (Pożar wywołała parowa maszyna; od której zajął się śpichrz).

Cześć więc drużyny mogła wracać do obozu. Przetę robiwszy zbiórkę, poprowadziłem wszyst-

kich (prócz „ważnych“ którzy jeszcze zostali) do obozu. Na szosie błoto, ciemno, że o kilka nacięć kroków prawie nic nie widać. Idziemy i po bokach drogi. Z daleka już widać światła w mieście, lecz my idziemy coraz to wolniej i wolniej. Nie zważamy już i na błoto, doły i kamienie. Rozmawiamy o pożarze. Każdy ma coś do opowiadania. Ten widział zranionego belką strażaka, którego szedł opatrywać sanitariusz kolonji druż Janek K., inny znów odbierał malusienkę prosiaczki, które jakimś cudem „wskoczyły“ pod kapoty chłopczków wiejskich, inny znów gonił przestraszonego konia, tamten był cały obłany wodą, którą woził do pożaru i t. d. Nareszcie stanęliśmy w obozie. W świetle przyglądaliśmy się sobie: obraz nędzy i rozpaczliwych obłoceni, spoceni, ręce i twarz ochlapane błotem, a o ubraniu nie ma co i mówić. Wszyscy tak byli przesiąknięci dymem, jak gdyby sami płonęli. Zjedliśmy szybko kwaśne mleko z kartofłami; myśleliśmy, że spracowani z większym apetytem jeść będziemy, tymczasem mocno apetyt nas zawiódł. Bez zwykłych modlitw ogólnych śpiewów poszli wszyscy spać. Wart nawet nie ustawiliśmy. Błądziłem jeszcze po obozie, zaglądając do izb, czy wszyscy już śpią, wreszcie za przykładem wszystkich rzuciłem się na łóżko i zasnąłem. W kilka dni po tym czytaliśmy w „Gazecie Kujawskiej“ podziękowanie złożone nam przez właścicieli Broniewa za pomoc okazaną przy gaszeniu pożaru. Przeplacaliśmy by tylko dostać ten numer „Gazety Kujawskiej“ i schować go na pamiątkę. Takich szczęśliwych było niewielu. Każdego z nas radowało to, że spełniliśmy swój obowiązek. To też okolica zaczęła na nas spoglądać inaczej, jeszcze bardziej przychylnie i życzliwiej niż dotąd. Odtąd harcerza jeszcze milej widziano u siebie, choć Kujawy i tak są słynne z gościnności.

□□□□□□□□

Kolonja w Wilczogębach.

(Urywek z dziennika).

Długo, długo i grubo namyślano się o wyjeździe z Warszawy. Jednego dnia zdawało się, że Warszawa za chwilę zajęta będzie, innego dnia — że nie tak prędko, jeszcze inni wreszcie, że się to odwlecze na długo. Powstały spory na temat wyjazdu, a jednak w końcu termin nadszedł, pomimo niezdecydowania jechaliśmy.

Pierwotnie mieliśmy zamiar wyjechać na Polesie, dokąd otrzymaliśmy zaproszenie — później zdecydowano się jechać bliżej i znalazłszy miejsce nad Bugiem we wsi Wilczogębach tu „rozbi-aliśmy namioty“.

Dnia 5/VII — w poniedziałek — nadzwyczajny wypadek!!

Gucio nie chciał się kąpać i wrzucono go w ubraniu do Buga. Podobno kurjery wydały ostatek nadzwyczajny. Żaba w stawie pękła i śmiechu.

Dnia 7/VII — 1918. Po gawędzie o spostrzeżeniach nasz gospodarz Kocik dał chłopcom

„Myśliwy strzelił kulą i trafił kozła w ramię i ucho“. Jakim cudem to się stało?!

Gorąco było wielkie we wtorek 6 lipca. W godzinie jedenastej poszliśmy do kąpieli nad Bug.

Dochodząc do rzeki spostrzegliśmy drużynę Zółkiewskiego kąpiącą się o pół wiorsty dalej. Pluton II puściłem do wody gdy spostrzegłem wielki słup dymu unoszący się w kierunku naszego obozu. Nie było wątpliwości, że to był pożar. Rozkazałem się zebrać wszystkim i pobić do domu po narzędzia. Chłopców od Zółkiewskiego widziałem biegnących na przełaj w kierunku pożaru.

W domu chłopcy wzięli kubelki, łopatki i kopyta; zaprzężono konie do wozu i ruszono za nami. Po pół wiorsty droga była tak czysta żeśmy rzucili wóz i pobiegli na przełaj. Krokiem harcowniczym biegliśmy około 8 wiorst przez płoty, łąki i lasy. Oryginalnie musiało to wyglądać, bo byliśmy wszyscy ubrani po kąpielu, mieliśmy łopatki i siekiery w rękach i biegliśmy jak warjaci.

Przybiegłszy na miejsce spostrzegliśmy część wypaloną, ale już ugaszoną. Powiedziano nam, że dalej szerzy się pożar znacznie większy. Rzeczywiście, o wiorstę od nas ogień po lesie. Szedł linją wybuchając ogniem i dusząc dymem gryzącym. Chłopcy wzięli się na linję ognia, tuż pod sam ogień walczyli, nie zasypywali ognia; wkrótce w tym miejscu pożar ugaszono. Okazało się następnie, że jeszcze dalej ogień szerzył się znacznie silniej.

Przybiegłszy tu spostrzegliśmy Guca z chłopcami, strażnikami i chłopami walczącymi z ogniem b. silnym.

Rzucono się i tu w ogień z zapalem. Walka była uporczywa, bo dym nadzwyczaj gęsty utrudniał zasypywanie. Kilka razy cofano się i kilka razy znów powracano do pracy. Cofającym się chłopom strażnicy stawiali chłopców naszych za przykład. Powoli, wyrabując drzewa, kopiąc rowy i zasypując piaskiem, opanowano ogień i tu. Czarni, zziębnięci, usmoleni, obchodziliśmy dymiący las, czy gdzie znów się nie pali.

Nagle na wzgórku znów ukazał się dym i ogień szeroką linją. Znów pobiegliśmy i znów rozpoczęło się zasypywanie ognia. Stojąc o krok od buchającego ognia kopało się rowki i sypało ziemię na ogień i tu go ugaszono.

Nigdzie więcej ognia nie było, tylko resztki lasu dymiły jeszcze. Zebraliśmy chłopców, a było ich około 60 bośmy się na drodze biegnąc spotkali się z drużyną Zółkiewskiego.

Czterech z mojej drużyny brakowało, bo pojechali zaraz do domu, byli b. zmęczeni.

Trzech z pozostałych okazało się, że są zatruci dymem, trzeba ich było podtrzymywać podczas drogi powrotnej.

Wyglądaliśmy okropnie. Po przebiegnięciu 8 wiorst podczas upału, spoceni rzuciliśmy się w ogień, to też teraz byliśmy umorusani, zakurzeni i zabrudzeni. Ubranie, a właściwie koszule i spodnie, bo tylko to zdążyliśmy włożyć na siebie po kąpiel, brudne było strasznie. Kilku było b. lekko pokaleczonych.

Ale chłopcy wszyscy zatruci wkrótce przyszedli do siebie, mieli miny nadzwyczajne, zapętryli im z oczu i widać było, że są dumni z dokonanego czynu.

Rzeczywiście mieli z czego być dumni. Za pracę swoją otrzymali podziękowanie.

Rzucali się w ogień z nadspodziewaną odwagą, czasem nawet ze zbytnią nieostrożnością, ale dowiedli, że mogą się zdobyć na poświęcenie i mają odwagę rzucić się w niebezpieczeństwo. O ja jestem z nich dumny, bom się przekonał, że praca nad nimi na marne nie idzie.

Po powrocie do domu o godz. 5 m. 30, zjedliśmy obiad i po odpoczynku wykopaliliśmy się. Wszyscy czuli się dobrze, jedynie Guccio nie mógł zupełnie przyjść do siebie.

(Dokończenie nastąpi).



„MŁODA DRUŻYNA“

JEST JUŻ W SPRZEDAŻY

CENA EGZ. MAREK 7.—
Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ MAREK 7.50

ZAMÓWIENIA BĘDĄ ZAŁATWIANE JEDYNIEMO PO
NADEŚLANIU NALEŻNOŚCI. PRZY WIĘKSZYCH
ZAMÓWIENIACH I DLA KSIĘGARNI USTĘPSTWO.

Administracja „HARCERZA“.

UKAZAŁA SIĘ:

ILLUSTROWANA JEDNODNIÓWKA HARCERSKA

„Jadę na Kolonję“

ułożył Alojzy Pawełek wydała I Wr. Dr. Harc.

Jednodniówka posiada ogółem 40 stron, około
30 ilustracji z życia harcerskiego i ogólnych,
żywe barwne opisy i opowieści.

DO NABYCIA W K. D. H.

„Harcierz i Harcmistrz“

roczniki 1917 w oprawie

do nabycia w K. D. H.

M A P Y 1 : 100.000

KRÓLESTWA POLSKIEGO

są do nabycia

w K. D. H.

Komisja Dostaw Harcerskich

Warszawa, ul. Traugutta 2.

Czynna od godz. 3-ej do 7-ej wiecz.

POSIADA NA SKŁADZIE: druki i formularze wy-
magane w drużynach i okręgach.

OZNAKI: krzyże lilijki, sznurki, oznaki różnych
sprawności.

Książki z zakresu ideologii i techniki harcerskiej.
Pocztówki różnego rodzaju.

PRZYBORY: jak manierki, paski, noże, gwizdki, kom-
pasy, łyżki i noże, teczki do map.

Wszelkie materiały piśmienne.

KSIĄŻKI SŁUŻBOWE I INNE DRUKI OBO-
WIĄZUJĄCE HARCERZY I HARCERKI SĄ
DO NABYCIA W

Komisji Dostaw Harcerskich.

BACZNOŚĆ!

NOWOŚĆ!

„HARCERZ“

ROCZNIK 1918 OPRAWNY JEST DO NABYCIA
w K. D. H.

NOWOŚĆ!

SPOCZNIJ!

Komisja Dostaw Harcerskich

CHĘTNIE POŚREDNICZY W SPRZEDAŻY
WYROBÓW I WYDAWNICTW OKRĘGÓW
I DRUŻYN — PROSI O NADSYŁANIE ICH.

TERENOZNAWSTWO — B A G I Ń S K I E G O

NADESZŁO I JEST NA SKŁADZIE
w K. D. H.

Adres Redakcji i Administracji: Krakowskie - Przedmieście № 5, (wejście od ul. Traugutta № 2 — sklep K. D. H.)

Redaktor Alojzy Pawełek.

Wydawnictwo Naczelnego Inspektora

Druk. Jana Buriana, Warszawa Mazowiecka 11.

Klisyze „Helios“ Warecka 12.